Rok IX^ty. **Nr. 7.**

Szkółka niedzielna



Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

Leszno. — *Niedziela druga postu*, dnia 16. Lutego 1845.

Religia.

Cudowny jest Pan Bóg w swych dziełach.

Kasper i Kordula Lipdomscy.

* * * *

Już blisko sześćdziesiąt lat temu, gdy w pewném miasteczku była dziewczynka, imieniem Kordula. Żyła przy matce, bo ojciec jéj dawno był odumarł; a ta chowała swe dziecko troskliwie w bojaźni Boga, świątobliwości i ciągłém zatrudnieniu. Nie upłynął dzień żaden, żeby ta dobra matka między innemi zbawiennemi przestrogami i tych nie wlewała w serce wzrastającéj córki: „Kochane dziecię! gdzie jest wstyd, tam jest i uczucie swojéj godności, czyli szacunek siebie, a ten znów wzbudza bojaźń Boską. — Próżna ciekawość i płochość jest zakałą każdéj panienki. — Dziewczyna, jeżeli chce pozostać niewinną, mieć łaskę u Boga i szacunek u ludzi, powinna być ciągle pracą, zatrudnieniem swemu wiekowi i stanowi odpowiadającém, zajęta. Próżnowanie jest jéj ochydą; nie powinna więc nawet i tak długo stać gnuśną i nieczynną, ile gołąbek potrzebuje czasu do dziubnienia i połknienia znalezionego ziarnka. — Pobożna zaś, pracowita i pięknie ułożona dziewczyna, będzie także swego czasu i dobrą gospodynią. — Kto nie szacuje tak grosza, jak złotego, ten rzadko do talara przyjdzie, a łatwo do długu. — Mały zysk, a częsty, jest lepszy, niż wielki a rzadki. — Kto mieszka z Bogiem, ten téż ma ciągle dobre sumienie.“ — Te i tym podobne, a pełne zbawiennéj nauki przysłowia, miała matka Korduli prawie zawsze na końcu języka, byle ją tylko w karności i rządności utrzymać. Te zaś dobre nauki nie zostały bez błogich owoców, bo stwierdzane były macierzyńskim przykładem. Wzrastała więc córeczka z gruntu serca dobrą i poczciwą.

W dwudziestym drugim roku, za zezwoleniem matki, poszła Kordula za mąż, za Kaspra Lipdomskiego, kowala. Był on biegły w swojém rzemiośle; przeto, gdy jeszcze był na wędrówce, każdy majster rad go u siebie jak najdłużéj zatrzymywał; bo wszystko robił z uwagą i namysłem; co tylko wyszło z pod jego ręki, było gruntownie i zgrabnie zrobione. Jednak obok téj biegłości i dobrych przymiotów, był żywego temperamentu, zarozumiały i nieco uparty przy swojém zdaniu, a ślady tych wad, choć małe, przez

całe życie zatrzymał. Trzeciego roku po ożenieniu się, wdał się w kompanią, która, mimo tego, że był dotąd bardzo poczciwy, mogła go na występne bezdróża wprowadzić, i stać się zarodem jego upadku. Częste nawiedzanie téj kompanii uczyniło go nieco opieszałym w robocie: zaczął się opuszczać i zaniedbywać dozoru tak w domu, jako i w kuźni; do póżnéj nocy trawił czas na grze, a nazajutrz nie rychło wstawał.

Żona zaś, Kordula, jak najprzezorniéj zajmowała się kobiécém gospodarstwem, ciągle to mając na pamięci, że oszczędzony grosz przez żonę w zarządzie domowym tak jest dobry, jak ten, który mąż zarabia; i że niegospodarna żona, przez swoje, choć drobne, ale niepotrzebne wydatki, więcéj zmarnuje i przez niedozór i opieszałość zniweczy, niż najpracowitszy i najbieglejszy w swém rzemiośle mąż zarobić zdoła. Wcałém jéj gospodarstwie panował porządek, każda rzecz była na swojém miejscu, a każda praca miała swój czas. Te godziny, które niejedna gospodyni, co się nie kochając w porządku, trawi na szukaniu rozmaitych rzeczy, ona na pracy przepędzała; a że wszystkie jéj zatrudnienia kolejno po sobie następowały, przeto każdy w domu wiedział, co i kiedy ma czynić. Nie słyszano tam nigdy swarów i kłótni z czeladzią, bo każdy z ochotą i ukontentowaniem robił, co do niego należało. Bez hałasów, w cichości, a porządku, zarządzała Kordula swym domem, jéj gospodarstwo było jak zegarek regularny, w którym ona wszystkiemu ruch i kierunek nadawała. Dzieci swoje, a miała ich troje, ubierała po prostu i przyzwyczajała do punktualnego posłuszeństwa, do porządku i pracowitości, w przekonaniu, że te trzy rzeczy stanowią istotę dobrego wychowania. Nie cierpiała u nich hałasowania i swywoli, poczytując to mniemanie za nierozum, że dzieci powinny wyszaléć w dzieciństwie. Owszem, mawiała, nałóg nie jest żadną drobnostką, i nie można go się tak łatwo pozbyć i zdjąć z siebie, jak sukni. Gdy dzieci za domem przywykną do jakiéj nieprzystojności, przynoszą ten zły nałóg ze sobą do szkoły i domu, a wtedy Nauczyciel i Rodzice nie mało użyć muszą trudności do odzwyczajenia ich od tego.

Gdy jéj dzieci chodziły do szkoły, baczne na to dawała oko, aby zadane im wypracowania należycie i w swoim czasie zrobiły. Każdego wieczora pytała: czego się w szkole nauczyły. Przy tém ekzaminowaniu podawała jéj się sposobność udzielania dzieciom rozmaitych nauk. w sposób jasny, odpowiadający ich pojęciu, a do tego miała szczególniejszy dar, a przytém i sama kiedyś chodząc pilnie do szkoły, pojęła wszystko dokładnie. Dobry przykład, jaki oboje dawali w domu, mocny wywierał wpływ na umysł i serce dzieci, dlatego téż mieli z nich wielką pociechę.

Bo i ojciec Kasper, po niejakim czasie porzuciwszy zupełnie kompanie, bałamuctwa i gry, żył bardzo porządnie, a do tego najwięcéj przyczyniała się roztropna żona. Co téż tak być powinno; gdyż mąż i żona nietylko powinni swoje dzieci i czeladź trzymać w porządku, ale i siebie nawzajem budować i do dobrego zachęcać. To téż jest najpotrzebniejszém często i najtrudniejsze w stanie małżeńskim. Przecież i to da się zrobić łagodnemi, ujmującemi słowy i dobrym przykładem, byle tylko oboje tak dalece nie przywykli do złego, że się ich nałóg prawie w naturę przemienił. Kaspra żona naprawiła. Przez kilka miesięcy, w mil-

czeniu prawda i cierpliwości, z żalem przecie i smutkiem poglądała na męża postępującego drogą, na któréj mógł się stać bałamutem i marnotrawcą. Z upragnieniem oczekiwała chwili, w któréjby mu mogła to przedstawienie z pożytkiem uczynić; bo znając jego porywczość, z obawy sprzeczek i zwad, wolała w milczeniu wyczekiwać szczęśliwéj pory, niż porywczo, nieroztropnie, zamiast poprawić, raczéj rozjątrzyć umysł męża, przez niewczesne upomnienie. Lecz i w tym czasie, gdy mąż bałamucił, ona wiernie pilnowała swoich zatrudnień, a po ukończonéj dziennéj pracy, regularnie z domownikami, jak porządek wymagał, jadła wieczerzą, którąby jéj po pracy daleko lepiéj smakowała była, bo bez bolesnych westchnień pożywałaby te boskie dary, gdyby i męża widziała obok siebie. Lecz ten cały tydzień wieczerzał z swymi kompanami, a w środę, jak sam powiadał żonie, smaczno na wieczerzą zajadał pieczone kwiczoły i dobrém winem popijał. Słuchając téj, niby chlubnéj mowy, żona, zamilkła i utopiła w swych piersiach bolesne westchnienia. Nazajutrz, w czwartek, pilne zatrudnienia zatrzymały Kaspra w domu; już była ósma wieczorem, gdy je ukończył, a więc za późno do zwykłéj kompanii; zabierał się tedy w domu do wieczerzy. Stół był nakryty; na jednym końcu zastawiono kartofle, chleb i kawałek mięsa; na drugim zaś stał talerz z bułką pszenną, cztery pieczone kwiczoły i pół butelki wina. Niezmiernie uderzył Kaspra zapach tych zastawionych potraw, ile, że mu się i jeść chciało, bo od obiadu nic nie miał w ustach. Rzekła tedy żona: „Kochany mężu! usiądź do stołu, gdzie ci się podoba. Jeżeli możesz jeść zemną kartofle i nieco mięsa, a przytém wtedy i owedy wypić szklankę piwa, to i na daléj, jako dobra żona, będę z wszystkich sił pracować i rząd w domu prowadzić, a wtedy przy twojéj także pracowitości uczciwie się utrzymać potrafim, i jeszcze na starość i na nieprzewidziane potrzeby kilka groszy oszczędzimy; jeżeli zaś na drugim końcu stołu do pańskich potraw zasiądziesz i tak daléj żyć będziesz, jak te kilka miesięcy, wtedy musisz mi pozwolić odejść z mojémi trzema dziećmi, abym poszukała sposobu, gdzie i jak się nadal utrzymać.“ Więcéj już mówić przed łkaniem nie mogła, a właśnie téż i dziecię w kolébce zaczęło płakać; wzięła je tedy do piersi, na które rzewne łzy po jéj licach w milczeniu spadały. Ten czuły widok mocno rozrzewnił ojca, roztropne zaś przemówienie żony tak było w swoim czasie, że przeszło do serca jego. „Kochana żono!“ rzekł, biorąc ją za rękę, „wcale dziś nie mam apetytu ani do téj, ani do owéj potrawy, lecz jutro udam się z tobą do kościoła, a po jutrze od rana wiernie i pilnie, jak ty, do pracy, a do kompanii już nigdy nie pójdę;“ i dotrzymał słowa. Zaraz na zajutrz w rozczuleniu i z zadowolnieniem jedli razem obiad, a w niedzielę z równą pociechą wspólnie zjedli owe schowane z czwartku pieczone kwiczoły i wino wypili; w całym zaś domu taka była radość, jakby się odprawiało wesele.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Rozmaitości.

Okopy szwedzkie.

(Z ręk. ks. D. B. B.)

W krajach, przez Słowian zamieszkałych, dają się widzieć miejscami okopy,

a najwięcéj w województwie płockiém, które tam powszechnie okopami szwedzkiemi zowią, lecz nie właściwie. Środkowe miejsce, czyli wewnętrze tych okopów, jest nadto szczupłe, ażeby potrzebną do obrony ilość wojska dogodnie mieścić w sobie mogło. Szwedzi nie mieli potrzeby i nie byli nawet w stanie usypać w krótkim czasie tak ogromnych wałów. Być tylko może, iż przechodząc tamtędy, w stanowiskach swoich za główniejsze punkta swéj siły one obierali i ztąd okopami szwedzkiemi późniéj są nazwane. W okopach pomienionych powszechnie znajdują się warsztwami układane: ziemia, kamienie, chociaż się w bliskości nie znajdują, i węgle do kowalskich podobne; sposób szańcowania zupełnie niestósowny z wojskowym. Pomiędzy temi warsztwami znajdują się często urny, kości ludzkie niedopalone, broń i różne domowe naczynia. Początek i znaczenie takowych okopów w tym sposobie wywodzi Benedykt Rakowiecki w rozprawie swojéj: *O stanie cywilnym Słowian*, czytanéj na posiedzeniu towarzystwa królewskiego przyjaciół nauk w Warszawie: „Dawni Słowianie zajmując większą część Europy i Azyi, nie znali jednowładztwa, rządzili się gminnie, podzieleni będąc na mniejsze lub większe Rzeczpospolite, rządzone przez Starszych, Starostów, Panów, Zupanów, Hospodarów, Hossudarów, Wojewodów, Bojarów, Kniaziów, Królów lub Carów, którzy powszechnie wolnym głosem wybierani byli. Naczelnicy takowi, czyli Rządcy, czynności, tyczące się dobra powszechnego, ułatwiali w Zgromadzeniach narodowych, które się odbywały niekiedy na ich dworze, najczęściéj zaś w świątyniach na to przeznaczonych. Jedne z takowych świątyń nazywano kontynami, od słowa kon, zakon; drugie zwano gradzinami, grodami, horodyszczami, od słowa grodzić, święta zagroda. Takowych zagród czas zniszczyć nie zdołał, są dotąd lub na wyniosłych górach, lub na rozległych równinach, powszechnie przy gajach i przy wodzie, ogromne wały, niejaki kształt okopów lub twierdzy mające. Alexander Sapiecha takowe gradziny w podróżach swoich po krajach słowiańskich opisał. Zoryan Chodakowski dociekł, iż one co cztéry mile zaludnionego miejsca w całéj przestrzeni krajów słowiańskich przy miastach były wystawione. Tam wszelkie religijne i narodowe uroczystości odbywano; tam narodowe zgromadzenia uroczyście pod powagą Starszych i Kapłanów ułatwiały wszelkie czynności publiczne. Jedne z takowych zgromadzeń nazywano Sniemami, Sijemami, Semami, od słowa zjąć, to jest: zebrać się, zgromadzić się; drugie zaś zwano wetami, wieczami, wiecami, od słowa wet, to jest: prawo, wiadomości. Stósownie do odległości wspomnionych kontyn i grodów, czyniony był statystyczny krajów słowiańskich podział, jak tego ślady historya i język przodków naszych dochowały. Nowogród i territorium do niego należące, podzielonem było na pięć końców, czyli konów, w których ustanowione były sądy, konami zwane. Nazwiska grodu, grodztwa, ziemi i powiatów, z tegóż pochodzą źródła. W tym sposobie urządzone Rzeczpospolite i gminowładztwa, utrzymywały między sobą ścisły polityczny związek, mocno przez niektóre celniejsze świątynie utwierdzany. Tam schodzili się Słowianie, dla uproszenia pomocy bogów; tam będąc uciśnieni od nieprzyjaciół, przynosili swe skargi jednoplemiennym, zaklinając ich, aby byli mścicielami ojczyzny i wiary; tam Kapłani zniewalali ich przez swoje wyrocznie do jednomyślnego, dla własnéj i powszechnéj korzyści, działania.“